Elżbieta Wichrzycka-Lancaster

OBRAZKI Z NIGERII. IMPRESJE Z WYPRAW W OKOLICE JOS[1)]

SOME IMPRESSIONS FROM NIGERIA

Abstrakt

Autorka pracowała w Nigerii w latach 1979–1985. Przedstawia garść wrażeń z podróży po środkowej Nigerii z Kaziem Marciniakiem (pracownikiem Zarządu Wodnego w Jos), Andrzejem Szyszko (trenerem uniwersyteckim) i Janiną Kotschy-Cooper (profesorem mechaniki tworzonej właśnie politechniki), która ułatwiła autorce późniejsze przeniesienie się do RPA. Są tam także komentarze autorki na tematy wypadków drogowych, schistosomiazy czy cukrowni pracującej tylko jeden sezon.

Słowa kluczowe: Nigeria, Jos, Uniwersytet w Jos, Rezerwat zwierząt w Yankari, Minna, schistosomiaza

Abstract

The author worked in Nigeria between 1979 and 1985. She presents a few impressions gather during her journeys through Central Nigeria together with Mr. Kazio Marciniak (from Water Affairs Commission in Jos), Mr. Andrzej Szyszko (university's coach) and Janina Kotsch-Cooper (who was professor of Plateau

[1] Fragment wspomnień z sześcioletniego pobytu w Nigerii profesor Elżbiety Wichrzyckiej-Lancaster. Obecnie autorka mieszka w Pretorii, w Republice Południowej Afryki (RPA).

State Polytechnic) and she helped author to move to RSA. One can also find comments regarding road traffic accidents, schistosomiasis and sugar refinery that operated only one season.

Key words: Nigeria, Jos, University of Jos (UniJos), Yankari Game Reserve, Minna, schistosomiasis

Do Afryki wyjechałam właściwie przez przypadek. Kiedy w 1978 r. zastanawiałam, się dlaczego szef chowa moje prace do szuflady i dlaczego poczuł się obrażony moją chęcią habilitacji, para kolegów, z którymi pracowałam, poradziła mi, żebym napisała podanie o pozwolenie na wyjazd z Polservisem. Dzięki temu miałam się zorientować, jak bardzo szef chce się mnie pozbyć. Efekt był tak piorunujący, że moja sytuacja przestała budzić jakiekolwiek wątpliwości. Szef podpisał moje podanie od ręki, popędził z nim do dyrektora i po uzyskaniu jego podpisu zaniósł, osobiście do Akademii Medycznej.

Ponieważ w tym czasie byłam właściwie jedynym żywicielem rodziny, postanowiłam zgłosić się na *interview* do Polservisu. Rozmowy toczyły się z przedstawicielami Uniwersytetu w Jos (UniJos) ze środkowej Nigerii. Otrzymałam od nich ofertę na zatrudnienie jako profesor anatomii patologicznej i hematologii w katedrze Anatomii Patologicznej i Hematologii UniJos. Poza dydaktyką miałam być odpowiedzialna za dwa laboratoria przy tej katedrze i Bank Krwi.

O piątej rano 11 stycznia 1979 r., w moje 46. urodziny wylądowałam w Nigerii, w Kano, w Afryce równikowej. Dookoła była czarna, upalna noc. Było 32° C. Nad nami wisiało rozgwieżdżone niebo. Konstelacje były niby znajome, ale jakoś dziwnie zniekształcone. Rozpoznałam tylko Wielki Wóz, który wisiał nad samym horyzontem i wyglądał jak po wypadku. Za to Księżyc był ogromny, złoty i z rogami skierowanymi do góry. W samolocie zdjęłam kilka warstw ciuchów, ale nadal mi było gorąco, mimo że miałam na sobie tylko kieckę dżinsową z krótkim rękawem. Wraz z tłumem pasażerów podreptałam w stronę dworca lotniczego.

Czekaliśmy na otwarcie kas, żeby odebrać karty pokładowe na lot do Jos (ryc. 1), który był o ósmej rano. Koło szóstej nagle

wzeszło słońce. Siedzieliśmy w wygodnych fotelach, których cztery stały w zapełniającej się powoli poczekalni, otoczeni czarną, nieomal aksamitna nocą i w kilka minut później siedzieliśmy już w zalanej słońcem przestrzeni. Stało się to błyskawicznie, wydawało się, że w mgnieniu oka z zupełnej ciemności zrobił się biały dzień. Temperatura zaczęła rosnąć gwałtownie. Była to zmiana niemal nie do uwierzenia.

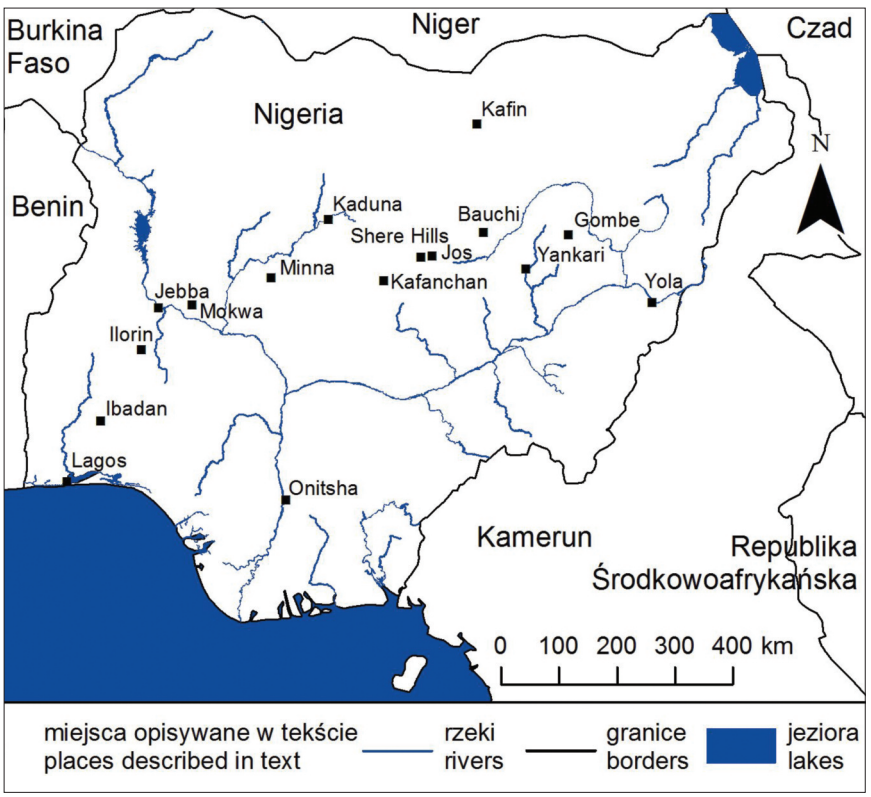

Ryc. 1. Miejsca opisane w artykule
Fig. 1. Places described in article

Nauczanie „mojego" przedmiotu zaczynało się dopiero w trzecim trymestrze drugiego roku, więc początkowo miałam zupełnie wolne weekendy i ogólnie sporo wolnego czasu. W piątek o 13.00 zamykało się wszystko, a muzułmanie szli gromadnie na modły do

meczetu. Wprawdzie po godzinie opuszczali meczet, ale już nikt w całym Jos, z uniwersytetem włącznie, nie wracał do pracy. Zaczynał się weekend.

Nigdy nie miałam czasu, żeby nauczyć się przyzwoicie grać w brydża, ale dla zapalonych brydżystów byłam lepsza od gry „z dziadkiem", więc, trochę na siłę, sadzano mnie do kart, gdy zabrakło czwartego. Jednym z lepszych brydżystów był Kazio Marciniak, ten sam Kazio, który trafił do Jos, kiedy na *interview* poprosił o przydział do regionu Hausa, ponieważ „trochę" znał ten język. Kiedy się okazało, że się zupełnie dobrze porozumiewał w hausa, którego to języka nauczył się w czasie studiów we Wrocławiu, znalazł się w Zarządzie Wodnym w Jos. Lubił przyglądać się życiu z bliska i pogadać z tubylcami, więc często w niedziele zabierał Andrzeja Szyszko (trener sportowy) i mnie na krótszą czy dłuższą przejażdżkę. Z reguły początkowo jechaliśmy normalną szosą, a w jakimś punkcie Kazio wybierał jakąś buszową drogę i jechaliśmy przed siebie, zatrzymując się, gdy coś nas zainteresowało. Którejś niedzieli, kiedy wysiedliśmy z samochodu, żeby zjeść nabyte w hotelu mięsne paszteciki, do pobliskiego źródła przyszły kobiety po wodę. Kazio zaczął z nimi rozmawiać w hausa. Bardzo były zdumione, że „bature" (nazwa białego człowieka, znacząca „bez skóry") posługuje się zrozumiałym językiem, chętnie odpowiadały na pytania, żartowały i śmiały się bardzo swobodnie. Byłam zdumiona ich swobodnym zachowaniem. Później przekonałam się, że pozycja kobiety w tradycyjnej rodzinie nigeryjskiej jest wysoka i ta tradycja jest tak zakorzeniona, że muzułmanie mieli i mają trudności w uznaniu Nigeryjczyków za prawdziwych „wiernych". Kazio wypytywał kobiety, jakie zwierzęta są w buszu i jakie ryby łapie się w miejscowych strumieniach. Po napełnieniu wodą ogromnych miednic i wiader kobiety ustawiały je sobie na głowach i krokiem baletnic powędrowały do swojej wioski. Pełna podziwu patrzyłam na te wielkie misy pełne wody, z których nie wychlapywała się nawet kropla. Ja nie przeniosłabym tak pełnego naczynia w rękach, że nie wspomnę o noszeniu na głowie. Oczywiście w czasie wędrówki po buszu wolne ręce były bardzo ważne. Trzymany w ręku kij służył na przykład do płoszenia węży, których ogromna większość ucieka przed hałasującym człowiekiem. Wielokrotnie obserwowałam malutkie, ledwo chodzące

brzdące, jak wędrowały z pomarańczą, mango czy paw-paw na łepetynie. Ćwiczenie czyni mistrza! Czasami widziałam obrazki nie ustępujące znakomitym pokazom cyrkowym. Obserwowałam kiedyś dwóch dżentelmenów jadących na motocyklu, którzy na głowach transportowali duży stół, na którym stały trzy krzesła.

W którąś kolejną niedzielę Kazio zabrał nas nad sztuczny zalew, nazywany przez Polaków „Morskim Okiem". Był to zbiornik wodny gromadzący pitną wodę dla Jos. Okolica była urokliwa. W obrębie tak zwanych „Shere Hills", pełnych ogromnych głazów, znajdowała się dolinka otoczona skałami, o brzegu częściowo umocnionym betonem. Na skałach wygrzewały się „rocky-rabbits" – skrzyżowanie królika ze szczurem piżmowym. Wokół tamy i zalewu „kipiał" zielony busz, rosły w nim banany, bambusy, przeróżne miejscowe drzewa i krzaki, których nazw nigdy nie udało mi się poznać. Kwitły tam amarylisy, głównie wiśniowo-brązowe, i glorioza zarówno ta pnąca, jak i nie pnąca się, czerwono-żółte, żółte lub całkiem czerwone. Obie te rośliny trafiły do mojego ogrodu, kiedy już miałam dom i ogród.

W połowie lutego, czyli po miesiącu pobytu, zostałam zabrana do Yankari (Parku Narodowego – Game Reserve). Wybierało się tam całe towarzystwo w kilka samochodów. Dla mnie było to bardzo ciekawe doświadczenie i pierwszy z wyjazdów i pobytów w Yankari. Gdy tylko zjechaliśmy z Wyżyny Jos, tuż za Jos, natychmiast dał się odczuć wzrost temperatury. Byliśmy prawie na samym równiku i to w środku pory suchej. Jechaliśmy około 150 km dobrą asfaltową drogą przez Toro i Bauchi na północo-wschód, a następnie zjechaliśmy na nieutwardzoną, buszową drogę. Początkowo poruszaliśmy się stosunkowo szybko – 120–140 km/godz. i z otwartymi oknami, więc było nienajgorzej, ale po wjeździe na laterytową drogę trzeba było zamknąć okna ze względu na okropny kurz. Klimatyzacji w samochodach nie było, więc od razu zrobiło się bardzo gorąco. Po około 60 kilometrach jazdy wzdłuż niewysokiego pasma górskiego i przytulonych do niego wiosek z okrągłymi, glinianymi chatkami stanęliśmy przed bramą rezerwatu (fot. 1), miejsca, gdzie nie wolno polować i gdzie można oglądać różne dzikie zwierzęta.

Przy bramie uiszczało się opłatę za wjazd samochodu, a sam samochód był poddawany odkażaniu i „odmuszaniu". Chodziło o to,

żeby nie wwozić do rezerwatu muchy tse-tse, przenoszącej śpiączkę afrykańską – trypanosomatozę, która zabija ludzi i zwierzęta. Mucha tse-tse jest jednak kiepskim podróżnikiem, bardzo nie lubi słońca i suchego powietrza. Żyje sobie spokojnie w różnych zaroślach wokół zbiorników wodnych i atakuje zwierzęta przychodzące do wodopoju. Dłuższe podróże może odbywać w cieniu podwozia samochodów, pod wozami albo wciśnięta w cień bagażu transportowanego przez osły, konie czy wielbłądy. Stąd opryskiwanie podwozia wjeżdżających do rezerwatu samochodów. Odbywało się to w dużej szopie tuż przy bramie. Niestety, wkrótce po moim przyjeździe do Nigerii zaniechano odmuszania. Uznano je za zbyt drogie.

Kamp, czyli ośrodek złożony z restauracji, kafejki, małego muzeum i domków do wynajęcia różnej kategorii (fot. 2), znajdował się mniej więcej w odległości 25 km od bramy wjazdowej. Droga była z czerwonego laterytu i prowadziła przez suchy, częściowo spalony busz, w którym co kilkanaście metrów sterczały ogromne termitiery. W czasie jazdy towarzyszył nam bezustanny świergot cykad siedzących na drzewach wzdłuż drogi, ćwierkających tak głośno i tak masowo, że trudno było zebrać własne myśli. Często na gałęziach, tuż nad ziemią siedziały perliczki, a stadka bajecznie kolorowych ptaków przelatywały nad buszem i nad drogą. Zauważyłam też kilkanaście dużych drapieżnych ptaków krążących nad buszem, a także liczne, gołoszyje sępy, czyli brygady sanitarne buszu. Było bardzo gorąco. Droga była wąska i kręta, co bardzo ograniczało szybkość jazdy, więc upał dawał się dobrze we znaki. Bywalcy pocieszali nowicjuszy, że jak dojedziemy, zarejestrujemy się i zostawimy w domkach bagaże, to popędzimy kąpać się w ciepłym źródle. Mieliśmy sporo kłopotu ze znalezieniem noclegu, bo kampus był pełen gości. W końcu dostaliśmy dwa pomieszczenia z piętrowymi łóżkami i bez klimatyzacji. Niestety brak łączności telefonicznej, powszechny w Nigerii, nie pozwolił nam na wcześniejsze zarezerwowanie miejsc noclegowych. Zresztą zarezerwowanie „na zapas" niczego nie rozwiązywało, bo mimo rezerwacji można było zostać bez noclegu. Kupiliśmy w kafejce chłodne piwo i „soft drinki" i zeszliśmy do źródła. Droga biegła zakosami po stromym zboczu. Była wyłożona płytami z naturalnego kamienia i oświetlona elektrycznymi lampami umiesz-

czonymi na metrowej wysokości słupkach wzdłuż ścieżki. Schodziło się do wąskiej dolinki zamkniętej z jednej strony wysoką na kilkanaście metrów skałą, spod której biło ciepłe źródło. Wodę zobaczyłam dopiero, gdy zeszliśmy na sam dół, bo wzdłuż rzeczki rosły wysokie drzewa, zasłaniając ją kompletnie. Wydajności źródła nie pamiętam, ale musiała być imponująca, biorąc pod uwagę bardzo silny prąd wody wypływającej spod skały. Brzeg od naszej strony, na długości około 50, metrów był wybetonowany i wyglądał jak brzeg basenu kąpielowego, za to na drugim brzegu królowała tropikalna roślinność z pawianami, wężami i mnóstwem kolorowych ptaków. Pod samą skałą rzeczka miała ponad 20 metrów szerokości i była głęboka na ponad dwa metry. Po kilkunastu metrach zgodnie z biegiem rzeczki głębokość zmniejszała się do metra i taka była przez następny kilometr. Uprzedzono mnie, że nie należy brodzić dalej niż do trzeciego zakrętu rzeczki, bo można się natknąć na krokodyla. Woda miała 34° C i bardzo przyjemny, mineralny smak. Ze względu na bardzo silny prąd była wolna od schistosomiazy[2] i można się było w niej bezpiecznie kąpać.

Wszystkie rzeczki, zalewy i doły pokopalniane wypełnione wodą były w Nigerii zakażone schistosomiazą. Oczywiście mimo zakazów chlapały się w nich dzieci, które po mniej więcej 20 latach trafiały do szpitali ze skutkami zakażenia, takimi jak zwłóknienie wątroby i nadciśnienie wrotne lub rak pęcherza moczowego. Cykl życiowy pasożyta jest tak skomplikowany, że aż trudno uwierzyć, że pasożyty te nie wyginęły i że schistosomiaza jest odpowiedzialna za więcej zgonów niż wszystkie inne pasożyty razem wzięte. Zbiornik w Yankari był właściwie jedynym naturalnym zbiornikiem wodnym, w którym się można było kąpać. Nic dziwnego, że ludzie

[2] Pasożyt ten w postaci larwy (cerkarii), pływa swobodnie w wodzie i przez skórę dostaje się do naczyń krwionośnych człowieka, którymi wędruje do płuc. Dojrzewa powoli i osiedla się ostatecznie w żyłach pęcherza moczowego, przewodu pokarmowego lub wątroby. Zapłodniona samiczka może produkować do kilkunastu tysięcy jajeczek na dobę, które wydostając się z kałem lub moczem i poprzez pośredniego żywiciela – ślimaka wracają do wody jako larwy (cykarie).

przyjeżdżali tu na weekend nawet z odległości kilkuset kilometrów. My z Jos i grupka Europejczyków z Bauchi mieszkaliśmy stosunkowo blisko Yankari i mogliśmy bywać tam często.

Po wymoczeniu się w źródlanej wodzie wdrapaliśmy się z powrotem na wysoki brzeg i popijając chłodne napoje, czekaliśmy na wieczorny objazd rezerwatu. Objazd odbywał się na odkrytych ciężarówkach niby wyposażonych w ławeczki, ale zabierających tylu pasażerów, ilu zdołało się zmieścić. Wskakiwało się na tę ciężarówkę, jak się dało, właściwie nikt nie korzystał z przystawionej z tyłu drabinki. Jedynym ograniczeniem była sprawność fizyczna wsiadającego. Patrzyłam osłupiała na ten tłum wlewający się bokami, z tyłu, a też nad kabiną kierowcy. Byłam przyzwyczajona do porządku „w kolejkach", które formowały się bez przerwy, z byle jakiego powodu, w PRL. Kolejka była do lekarza, po świeży chleb, po mleko czy do kasy kina lub teatru. Na pewno bym się nigdy na tę ciężarówkę nie dostała, gdyby mnie Andrzej nie wciągnął na nią. Oczywiście on był jednym z pierwszych wskakujących i zajął miejsce dla nas obojga na froncie ciężarówki, co zapewniało nam dobrą widoczność.

Wybraliśmy się na ranny objazd o świcie, kiedy zwierzęta wracały od wodopoju. Objazd trwał około dwóch godzin. Na każdej ciężarówce był uzbrojony strażnik, który dbał o nasze bezpieczeństwo i pełnił rolę przewodnika, opowiadając o napotykanych zwierzętach. Często musiał powiedzieć nam, gdzie się znajdują, bo nawet z bliska czasem było trudno je dojrzeć, tak były wtopione w otoczenie. W moich wspomnieniach busz aż się roił od zwierząt. Było je łatwiej zobaczyć pod koniec pory suchej, kiedy zwierzęta gromadziły się w pobliżu wody. Na podmokłej zielonej łące pasły się obok siebie bawoły, gazele, kilka gatunków antylop i guźce (warthogi – ssaki z rodziny świniowatych). Wśród nich widać było pawiany i wiele odmian ptaków. Na brzegach łąki, w wolno płynącej wodzie, zobaczyłam kilka krokodyli. Podwieźli nas przewodnicy także do małego jeziorka, w którym były hipopotamy. Początkowo zupełnie ich nie było widać, dopiero kiedy jeden z nich wystawił z wody ogromny łeb z imponującą paszczą, okazało się, że widoczne na powierzchni wody różowe niby-kwiaty to hipopotamowe nosy. Przed ciężarówką przebiegały stadka perliczek, a na jakiejś polance trafiliśmy na perliczkowe zaloty.

Samce tak były zajęte sobą i godowym „tańcem", że nie ustępowały z drogi ciężarówce i kierowca musiał je omijać lub ostro hamować, żeby nie rozjechać „tancerzy". Usiłowałam słuchać objaśnień, oglądać wszystko i robić zdjęcia. Aparat miałam bardzo kiepski i z tego okresu pochodzi moje „najsłynniejsze" zdjęcie. Widać na nim skałę, kępę krzaków, wszystko w sporej odległości, a za krzakami, według moich objaśnień siedział lew, którego niestety zupełnie nie było widać na zdjęciu.

Noc w małym pokoiku z piętrowymi łóżkami była dla większości upiorna. Niektórzy (głównie panowie) przesiedzieli ją na tarasie kafejki, popijając chłodne piwo, lub po prostu spędzili ją, siedząc w źródlanej wodzie, inni miotali się w upale na swoich pryczach. Ja nic o tym nie wiedziałam, bo noc mimo upału smacznie przespałam. Po rannym objeździe i kąpieli wróciliśmy do Jos.

Przed Wielkanocą Kazio zaproponował mi wyjazd do Yoli i Jemminy, w pobliżu granicy z Kamerunem. Kazio miał tam kolegę, który go do siebie zapraszał. Kolega pracował w miejscowym Zarządzie Wodnym i miesiąc wcześniej miał dostać obiecany od roku dom. W najbliższym czasie miała dojechać rodzina kolegi, z Polski, ale na Wielkanoc był jeszcze sam. Kazio stwierdził, że nawet jeżeli przydział domu nadal się opóźniał, to kolega mieszka w mieszkaniu z trzema sypialniami, w domu dla gości Zarządu Wodnego, nie będzie problemu z ewentualnym przenocowaniem nas. Chodziło o dwie noce, bo w poniedziałek Wielkanocny byliśmy umówieni z grupą pracowników UniJos w Yankari. Zgodnie z instrukcją Kazia zapakowałam dla nas jedzenie na drogę i dużą ilość płynów do picia, ponieważ okolica, do której jechaliśmy, należała do najcieplejszych w Nigerii, a nawet w Afryce. Picie w puszkach wyjęłam zamrożone z lodówki tuż przed wyjazdem, licząc, że zapakowane w papier i worki plastikowe utrzymają niską temperaturę przez kilka godzin jazdy. Wyjechaliśmy zaraz po wschodzie słońca. Droga prowadziła przez Bauchi, Gombe do Yola i do Jemminy, gdzie mieszkał kolega Kazia. Yola i Jemmina łączyły się ze sobą. Od skrętu w buszową drogę do Yankari droga była dla mnie zupełnie nieznana i z ciekawością rozglądałam się dookoła. Jechaliśmy raczej monotonną równiną. Na horyzoncie widać było potężne góry Kamerunu. Na polach rosły kalabasze (rodzaj tykwy). Wyglądały jak wielokształtne dynie,

ale były lekkie, puste w środku, z klekoczącymi pestkami. Skorupy zewnętrzne były grube, twarde i zupełnie zdrewniałe. Duże i o interesujących kształtach były już zebrane, ale znaleźliśmy jeszcze kilkanaście wartych zabrania. Kazio zapakował je do bagażnika. Kiedy dostałam własny dom, posłużyły mi do zrobienia abażurów na wiszące lampy, które na moją prośbę zainstalował nad stołem, w kącie do siedzenia i nad biurkiem Krzysio Olszewski, klimatolog.

Upał dawał się nam we znaki, była to pora sucha, byliśmy prawie na równiku. W Gombe, jednym z najgorętszych miejsc w Afryce, zatrzymaliśmy się w cieniu dużego drzewa, żeby coś zjeść i napić się. Od Gombe zaczął się obszar spalonej ziemi. Palenie buszu pod koniec pory suchej jest bardzo starym zwyczajem i chyba powszechnym w całej Afryce. Coraz częściej słyszy się, że zwyczaj ten przyczynia się do wyjaławiania buszu, bo w ogniu giną nasiona, ale busz pali się dalej. To na co patrzyłam, to były kilometry spalonego buszu, ale i spalonych słupów sieci elektrycznej. Miejscami ocalały izolatory i same czubki słupów. Druty zwisały tuż nad ziemią albo po prostu leżały na ziemi. Nie sądzę, aby ta okolica miała dostęp do elektryczności. Dowiedziałam się od Kazia, że na południe od Gombe, na podmokłych terenach wzdłuż rzeki Benue założono wielkie farmy trzciny cukrowej i wybudowano cukrownie. Cukier, który kupowaliśmy w sklepach, podobnie jak większość sprzedawanych tam artykułów, pochodził z importu z Wielkiej Brytanii. Zgodnie z przepisami nigeryjskimi, 51% akcji cukrowni musiało należeć do Nigeryjczyków. Nie pamiętam z jakiego kraju pochodził kapitał użyty na założenie farm i budowę cukrowni. Losy cukrowni i farm okazały się nie tylko bardzo smutne, ale i typowe dla krajów afrykańskich. Po pierwszych bardzo udanych zbiorach i sprawnie przeprowadzonej kampanii cukrowniczej, zarząd cukrowni zadecydował, że dyrektorzy zakupią całą produkcję cukru (oczywiście po cenie kosztów produkcji). Po tej zaplanowanej transakcji dyrektorzy sprzedali cukier z doskonałym zyskiem, ale efekt był taki, że na następny rok nie było już pieniędzy na kolejną kampanię cukrowniczą i cukrownia stanęła. Pola trzciny cukrowej zarosły lokalną roślinnością i wszyscy szybko zapomnieli o własnej produkcji, wracając do wygodnego importu.

Zgodnie z planem Kazia zajechaliśmy do Jemminy o trzeciej po południu. Kolega Kazia przywitał nas serdecznie, ale mieszkał nadal w rządowym domu dla gości, który rzeczywiście miał trzy sypialnie, ale dwie z nich były wypełnione po brzegi rzeczami kolegi przygotowanymi do przeprowadzki. Sympatyczny pan wydał się bardzo rad z naszej wizyty. Jak widać, nie uśmiechały mu się samotne święta. W efekcie zostawił nam dom i przeniósł się na noc do kolegi. Po jego wyjściu zorientowaliśmy się, że wziął nas (Kazia i mnie) za parę i na pewno był przekonany, że wyświadczył nam przyjacielską przysługę, zostawiając swoją sypialnię z, wprawdzie olbrzymim, ale jednym łóżkiem. Trochę się z Kaziem pośmieliśmy, ale uznaliśmy, że nie ma co robić problemu z łóżka i że domaganie się osobnego miejsca do spania dla każdego z nas mogło być kłopotliwe dla naszego przemiłego gospodarza. Łoże było rzeczywiście olbrzymie i swobodnie mogły spać w nim 4 osoby. Każde z nas spało na swojej połowie i spędziliśmy te jednołóżkowe noce bez żadnych problemów. Rano wrócił nasz gospodarz i dowiedzieliśmy się, że jesteśmy zaproszeni na późne świąteczne śniadanie do Polaków pracujących w Yoli/Jemminie. Jednak kiedy wyszliśmy przed dom, powietrze parzyło przy oddychaniu! Oświadczyłam, że nigdzie nie jadę, Kazio oświadczył to samo, a nasz miły gospodarz bardzo się z tego ucieszył. Samochód, którym wrócił i zostawił na krótko na otwartej przestrzeni, tak się nagrzał, że nie można było do niego wsiąść. Siedzieliśmy więc w stosunkowo chłodnym domu, pod ogromnym sufitowym wiatrakiem i popijaliśmy wodę z lodówki. Woda natychmiast zamieniała się w pot, który strumyczkami spływał w duże frotowe ręczniki pod naszymi nogami. Wypiliśmy w trójkę w ciągu kilku godzin 40 litrów wody. Nasze gruczoły potowe działały na granicy wydolności! Wieczór okazał się chłodny. Byliśmy dość wysoko nad poziomem morza na pogórzu gór Kamerunu, więc wieczory były tu zupełnie przyjemnie chłodne. Korzystając z chłodu pojechaliśmy najpierw do starej Yoli. Uliczki były oświetlone palącymi się na progach chat kagankami. Wyglądało to bardzo malowniczo, ale wynikało to podobnie jak w całej Nigerii, stąd że po zachodzie słońca brakowało prądu.

W starej Yoli obejrzeliśmy, oczywiście tylko z zewnątrz, gmach więzienia i otoczony wysokim murem pałac Emira. W Yoli/Jemminie znajdował się bardzo piękny, nowy most na rzece Benue. Pojechaliśmy tam drugiego dnia. Most ma 1,5 km długości. Przejeżdżając go, liczyłam przęsła. Naliczyłam ich 30 i z niedowierzaniem patrzyłam na malutki strumyczek płynący na dnie głębokiej i szerokiej doliny. Okazało się, że różnica między poziom wody w porze suchej i deszczowej wynosi 9 metrów. Kazio okiem fachowca patrzył na tę okolicę i stwierdził, że byłoby to idealne miejsce na budowę tamy i zbiornika retencyjnego oraz elektrowni wodnej. Na końcu mostu, po jego drugiej stronie, znajdował się kampus Włochów, którzy ten most budowali. Kiedy zakończono budowę, rząd stanowy za niewielkie pieniądze odkupił ten kampus od Włochów. Podobno była tam wcześniej świetna restauracja i duży basen kąpielowy, dostępny również dla miejscowej ludności. Po roku od sprzedaży w restauracji serwowano wyłącznie piwo, a basen kąpielowy był pusty i „ozdobiony" na czterech rogach tablicami mówiącymi, że właśnie jest pusty.

Następnego dnia rano wyjechaliśmy w drogę powrotną. Zatrzymaliśmy się w Yankari, gdzie dość spora grupa personelu z wydziału medycznego świętowała Wielkanoc. Kąpiel w ciepłym źródle i grill (barbecue), a szczególnie nocleg w klimatyzowanym domku po upałach w Yoli bardzo mi odpowiadały.

Odbyłam z Kaziem, a także z Andrzejem szereg różnych „wypraw", na południe do Kafanchanu na miejscowy ryneczek i nad wodospad, i w góry Rukuba. W tych górach mniej więcej na dwa lata przed moim przyjazdem do Nigerii plemię Rukuba zjadło dwóch poborców podatkowych. Według opowiadających winnymi „zajęła" się armia. Myśmy widzieli tylko resztki zrujnowanych wiosek, ludzi nie spotkaliśmy.

Po przyjeździe do Nigerii mieszkałam, podobnie jak większość przyjezdnych, w Plateau Hotel. Powoli jednak hotel pustoszał. Ala, lekarz pediatra, dostała mieszkanie w Pankshinie, na południowowschód od Jos, w pobliżu szpitala. Jeździliśmy tam w weekendy, aby ją odwiedzić. W połowie drogi między Jos i Pankshinem była farma rybia Panyam zamieszkali „Śledziowie", Staszek i Ela. Staszek był pracownikiem FAO. Jeździło się do nich w odwiedziny, a także na zakup świeżych ryb.

Janek – ginekolog i Staszek – chirurg rozpoczęli pracę w szpitalu misyjnym w Vomie, bliskim sąsiedztwie Jos. Dostali do zamieszkania dom z ogrodem, nieco później dołączyły do nich żony i córki Staszka. Zjawiliśmy się kiedyś u nich (Kazio, Andrzej i ja) z siedmiokilogramowym sumem. Kupiliśmy go na nieczynnej farmie w górach, gdzie „rybacy" pływający na ogromnych kalabaszach (tykwach) wyciągali różne ryby za pomocą sieci obciążonej ołowiem, która przez pociągnięcie odpowiedniego sznura zamieniała się w zamknięty worek. Zobaczyłam tam największego w życiu karpia. Miał 98 cm długości i ponad 50 cm obwodu. Musiał to być jakiś prapradziadek karpiowy i nie odważyłam się go kupić. Kiedy dotarliśmy do Vomu, panowie zasiedli do brydża i resztek „Wyborowej" z lodówki, a ja pełna szczęścia zabrałam się do przyrządzania przywiezionego suma. Mieszkałam nadal w hotelu, oczekując na przydział domu, i miałam już zupełnie dość hotelowej kuchni i zapchanego moim bagażem pokoju. Brakowało mi własnego kąta i kuchni do pichcenia, szczególnie, że jadłospis hotelowy ogromnie się popsuł po odejściu dotychczasowego zarządcy Austriaka. W ogrodzie Janka i Staszka w Vomie rosły różne warzywa i zioła, a także cytryny, było więc czym przyprawić rybę.

W drodze na Kafanchan odkryliśmy leżącą w bok od głównej drogi opuszczoną misję. Najlepiej zachowany był budynek szkolny, a na skałach zostały po misji różne pobożne napisy. Chętnie zatrzymywaliśmy się tam, w cieniu ogromnych drzew mangowych, żeby na przykład zjeść obiad. Wybieraliśmy się też do pobliskiej wioski, gdzie zachowały się resztki misyjnego sadu grejpfrutowego. Kupowaliśmy tam całe worki bardzo smacznych i praktycznie bezpestkowych owoców. Od budynków misji, a raczej ich ruin, ciągnęła się w górę ścieżka prowadząca wzdłuż wspomnianych pobożnych napisów, aż do kilku niewielkich wodospadów.

Duży wodospad był pod Kafachanem (fot. 3). Rzeczka płynęła sobie dość leniwie po równinie i nagle spadała ze skalistego progu 50 metrów w dół. Próg miał kształt podkowy, a sam wodospad wyglądał jak miniaturka Niagary. U podnóża wodospadu była kotlinka wypełniona białym, miałkim piaskiem, a ściany kotliny były porośnięte bujną roślinnością.

W Nigerii była przerażająca ilość wypadków drogowych. Było to spowodowane kiepskim stanem technicznym pojazdów, których konserwacja polegała wyłącznie na dolewaniu benzyny i czasem oleju, i brakiem znajomości przepisów drogowych. Większość praw jazdy była kupiona, a kierowcy uczyli się prowadzenia samochodów w czasie jazdy. Nie bez znaczenia było również to, że Nigeryjczycy nie byli w stanie zmienić raz podjętej decyzji ani przewidzieć jej skutków, kiedy więc zdecydowali się wyprzedzać jadący przed nimi samochód, nawet jadący z przeciwka pojazd nie był w stanie ich zmusić do cofnięcia się, no i zderzenia czołowe przy wyprzedzaniu były niestety częste. Poza tym ogromne ciężarówki, stanowiące podstawę transportu, były z reguły źle załadowane i łatwo się wywracały. Opowiadano mi, że na południu można było zobaczyć za kierownicą goryla czy dużego szympansa, kiedy właściwy kierowca zdecydował się chwilę przespać i odpocząć.

Pawiany były z kolei używane do kradzieży. Były w stanie wleźć do okrągłej chatynki przez przestrzeń wentylacyjną pod samym dachem i potrafiły wynieść wszystko, co się dało.

W Kafanchanie znajdował się stały, dość duży rynek (fot. 4). Napoje były chłodzone w staroświeckich „lodówkach na naftę" albo były zanurzone w wodzie w wielkich porowatych naczyniach glinianych. Energia zużyta na parowanie wody znakomicie wychładzała tę wodę i zanurzone w niej napoje. Na tym rynku kupiłam sobie moją ulubioną nigeryjską kieckę. Był to kawał bawełny farbowany metodą batikową (wiązania supełków). Intensywność koloru zależała od tego, jak mocno był zawiązany supełek. Złożony na pół kawał materiału miał wyciętą dziurę na głowę i zszyte boki. Miejscowi artyści potrafili tą metodą robić bardzo interesujące wzory. Kiedyś w telewizji pokazywano taką artystkę i to, co potrafiła wyczarować prostym wiązaniem materiału. Moja kiecka była ciemnoniebieska z wzorami czerwono-białymi. Kolory przez 6 lat nie straciły nic ze swojej intensywności, mimo codziennego noszenia i prania. Niestety materiał zaczął się rozsypywać. Bawełna była znacznie słabsza od naturalnych barwników.

Jedną z niedzielnych atrakcji w czasie mieszkania w hotelu było „chodzenie na topazy". Kiedy rozpoczęła się pora deszczowa w po-

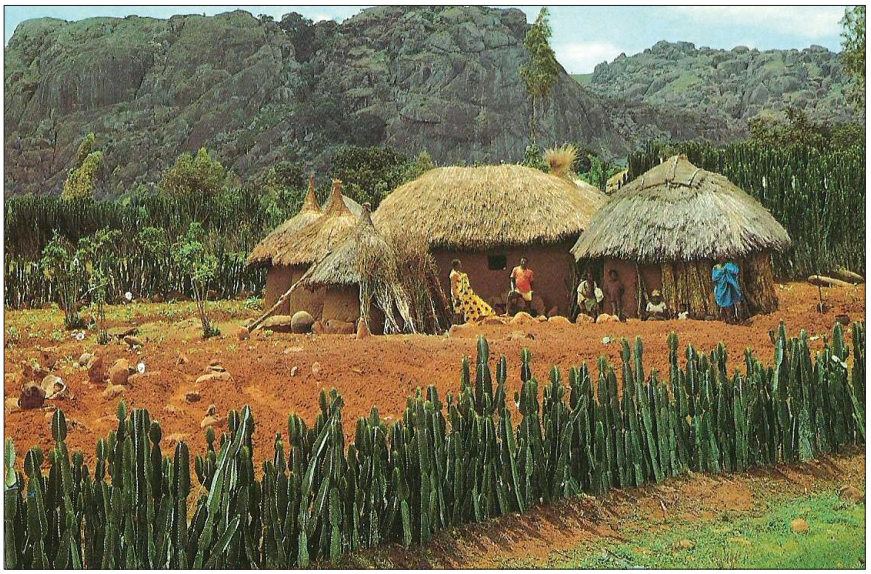

Fot. 1. Rodzinna zagroda w drodze do Yankari. Ogrodzenie z kaktusów chroni zasiewy przed kozami
Phot. 1. Small family holding on the way to Yankari. Cacti fence protects plants from goats

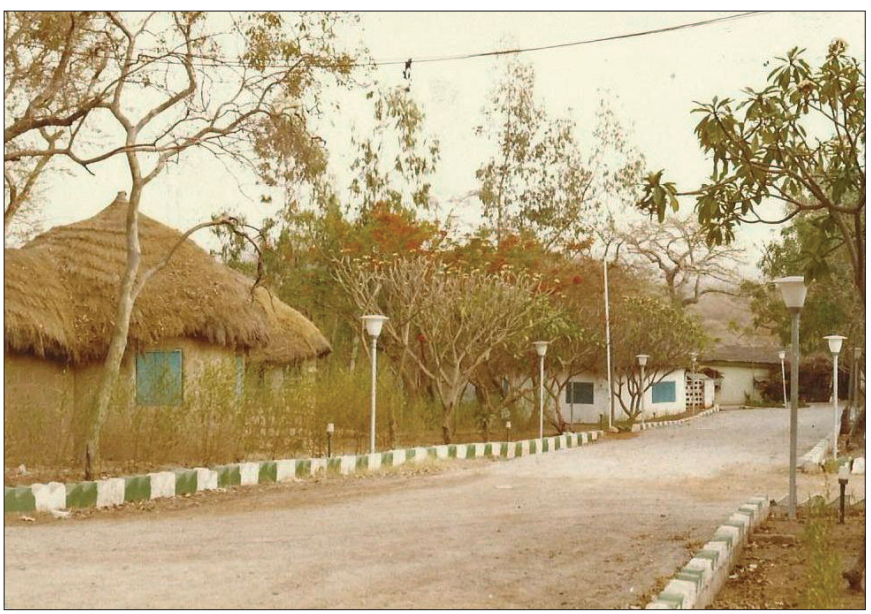

Fot. 2. „Uliczka" kampusu w Yankari. Domki do wynajęcia
Phot. 2. Yankari Game Reserve main camp. Chalets to rent

Fot. 3. Wodospad pod Kafanchanem. Dno dolinki wysłane białym piaskiem
Phot. 3. Waterfall near Kafanchan. Valley underneath is covered with white sand

Fot. 4. Typowy afrykański ryneczek pod Kafanchanem
Phot. 4. Typical African market place near Kafanchan

łowie marca, wędrowaliśmy wzdłuż strumyka płynącego opodal hotelu i zbieraliśmy kamienie. Na Wyżynie Jos było bardzo wiele miejsc, gdzie można było znaleźć różne półszlachetne kamienie. Topazy najlepiej było zbierać po obfitym deszczu, kiedy wartko płynąca woda wymywała je na powierzchnię piasku. W okolicach Jos znajdywało się też kryształy górskie, od bezbarwnych poprzez złotawe, fioletowe, do prawie czarnych. W okolicach starych wulkanów, na polach uprawnych, zbierało się granaty. Były okolice, gdzie podobno znajdowano opale, a agaty, „tygrysie oczka" czarno-złote i brązowo-żółte, kamień zwany księżycowym i malachity występowały w różnych częściach Nigerii.

Staszek zwany „Śledziem", pracownik FAO, tak się zachwycił różnorodnością półszlachetnych kamieni, że nie tylko je zbierał i kupował, ale nauczył się je szlifować. Nabył japońska szlifierkę i twierdził, że jak wróci do Polski i pójdzie na emeryturę, zajmie się „zawodowo" obróbką kamieni. Ciekawa jestem, czy zrealizował swoje plany.

Pod koniec maja Kazio zaproponował Andrzejowi i mnie kolejną wycieczkę, tym razem do Minny, gdzie pracował inny kolega Kazia. Przez drobnych handlarzy odwiedzających nas w Jos i przez Europejczyków, których spotykaliśmy w rzeźni przy zakupach mięsa (wieprzowinę można było nabyć tylko w Jos, sąsiednie muzułmańskie stany brzydziły się świńskim mięsem), Kazio nawiązał kontakt z kolegą i zostaliśmy do niego zaproszeni. Niestety w dniu, w którym mieliśmy wyjechać, leżałam z wysoką gorączką i autentyczną anginą. Odporność załamały mi wielogodzinne nasiadówki Senatu i Rady Wydziału. Trwały one od 5 do 8 godzin i odbywały się w klimatyzowanych pomieszczeniach. Jako szef departamentu, pod chroniczną nieobecność Jeffa (mojego szefa), musiałam uczestniczyć w obu nasiadówkach, gdzie nieźle marzłam. Wyjście na gorącą ulicę było szokiem termicznym i odwrotnie – wejście z ulicy było związane z niemiłym uczuciem chłodu. Wprawdzie była już pora deszczowa i generalnie upały się skończyły, natomiast jak zwykle w porach przejściowych panowały rozliczne infekcje, szczególnie u dzieci. Porządni moi panowie (Kazio i Andrzej) postanowili opóźnić wyjazd o tydzień lub dwa i zaczekać na moje wyzdrowienie. Na szczęście antybiotyki szybko załatwiły anginę.

Zajęłam się jak zwykle zaopatrzeniem, a panowie szykowali do drogi samochód. Wyruszyliśmy przed wschodem słońca, bo przed siódmą rano. Ze względu na położenie w strefie równikowej mieliśmy dokładnie 12-godzinny dzień z malutkimi przesunięciami sezonowymi o jakieś pół godziny. Dzień i noc zapadały bez świtu i bez zmierzchu, nagle z pełnego dnia w ciągu paru minut zapadały ciemności i odwrotnie – noc nagle przechodziła w pełny, słoneczny dzień. Pierwszy odcinek drogi znałam dobrze, bo tą właśnie drogą jechało się do Panyamu czy Pakshiniu. Po paru kilometrach dojeżdżało się do rozwidlenia dróg – jechaliśmy normalnie drogą w lewo na południo-wschód, tym razem skręciliśmy w prawo, na zachód i przez parę kilometrów okrążaliśmy wzgórza Vomu, nad którymi kłębiły się malownicze chmury. Tę drogę również znaliśmy, bo prowadziła do Kafanchanu i dalej do Kaduny. Zjechaliśmy z Wyżyny Jos drogą na południe, na Wambe i Akwange. Po zjeździe z naszej wyżyny po obu stronach drogi była zielona ściana lasu opleciona lianami. Zrobiło się nagle bardzo gorąco i wilgotno. Zapachniało prawdziwym tropikiem. Nawierzchnia drogi mocno się popsuła, gdy skręciliśmy w stronę Abuji (przyszłej stolicy Nigerii). W samej Abuji niewiele się działo. Z daleka widać było kilka dużych kampów różnych firm budujących lub mających budować stolicę. Główna droga dojazdowa prowadziła przez nagromadzenie lepianek i bud sklecony z blachy falistej i skrzynek różnego rodzaju. Biedota i tak zwane „męty społeczne" ściągnęły z całej Nigerii w poszukiwaniu pracy lub okazji do zgubienia się w wielkim mieście, a może i łatwego zarobku, głównie z kradzieży. Nowa, wielopasmowa droga, którą jechaliśmy do pewnego czasu, urwała się nagle na wąziutkim, jednopasmowym moście Baleya. Często w Nigerii słyszałam narzekania na Anglików, że budowali takie wąskie drogi, ale pasowały one zarówno do niewielkiego w tym czasie ruchu kołowego, jak i do wznoszonych przez nich mostów. Budowy nowych mostów, poza opisanym mostem w Yoli, nie zauważyłam, a mostów pasujących do wielopasmowych dróg w ogóle nie widziałam.

W okolicy Abuji był duży zakład produkujący wyroby gliniane i kamionkowe. Jeśli dobrze pamiętam opowiastkę przewodnika, to jakaś „zwariowana Angielka" pozbierała miejscowych mistrzów-

garncarzy, założyła szkołę nauki rzemiosła i nawiązała kontakty zagraniczne. Garncarstwo kwitło i, jak nam wytłumaczono, cała produkcja szła na eksport, głównie do Stanów Zjednoczonych. Na miejscu można było kupić tylko wybrakowane, pojedyncze sztuki. Kupiłam sobie wspaniały kamionkowy czajnik do parzenia herbaty, miseczkę do zupy z przykrywką, która służyła mi jako cukiernica, i duży, płaski talerz ozdobiony rybą. Ceramika była głównie w odcieniach brązu i czerni, bardzo interesująca. Przepiękne były ogromne naczynia w nigeryjskim stylu, które bardzo chętnie ustawiłabym w ogrodzie, ale oczywiście nie miałam żadnej możliwości zabrania ich do Jos. Zresztą cały swój zbiór naczyń glinianych, a szczególnie tych kamionkowych, musiałam zostawić, opuszczając Nigerię, ze względu na ich wagę. Koło Kafin przejeżdżaliśmy przez kilka wiosek z uroczymi ryneczkami. Na jednym z nich kupiłam trzy garnki gliniane po 40 kobo za sztukę. Miały one bardzo ciekawe kształty i były pomalowane czerwono-brunatnym sokiem jakiegoś kaktusa, który poza nadaniem garnkom barwy służył do uszczelnienia porowatej gliny. W samym Kafin kupiłam trzy pasy samodziałów do położenia na stołach jako bieżniki. Miały one szaro-niebieskawe tło i beżowe, granatowe i czarne pasy. Jak się okazało, farby były trwałe i nie zmieniały koloru w praniu, natomiast garnki wymagały długiego mycia, zanim przestały farbować przy dotknięciu. Koło piątej po południu dojechaliśmy do domu kolegi Kazia. Franio mieszkał w starym, pokolonialnym domu, usytuowanym na szczycie wysokiego wzgórza. Dom miał wielką, ocienioną werandę i dach z szerokim okapem, dzięki któremu ściany domu były zawsze w głębokim cieniu. Dom był więc dość chłodny. Z werandy był wspaniały widok na całą Minnę, niedawno zbudowaną tamę i sztuczne jezioro. Franio właśnie czekał niecierpliwie na przyjazd rodziny i z dumą pokazywał nam założony przez siebie ogród i usprawnienia porobione w domu. Potem pojechaliśmy nad sztuczny zalew przyglądać się wielkim krokodylom, które przywędrowały tu nie wiadomo skąd i bardzo utrudniały zarybienie i połowy na sztucznym jeziorze. O kąpieli oczywiście nikt nie myślał, bo jak wszystkie zbiorniki wodne w Nigerii, i ten był zakażony schistosomiazą, nie wspominając już o krokodylach.

Aby poprawić sytuację ekonomiczną Afryki, należy rozwinąć rolnictwo. Aby rozwój ten umożliwić, należy zainwestować w tamy i zbiorniki wodne. Niedostatek wody jest problemem w całej Afryce. Przybrzeżne góry utrudniają przemieszczanie wilgotnych mas powietrza w głąb lądu i w związku z tym obfite opady w porze deszczowej spływają bezużytecznie z gór do oceanu. Sprawę rozwiązałyby zbiorniki retencyjne gromadzące wodę w porze deszczowej i rozprowadzające ją w porze suchej. Dodatkowo takie zbiorniki stałyby się źródłem taniej i czystej ekologicznie energii elektrycznej. Niestety, budownictwo wodne jest kosztowne i wymaga z jednej strony – siły roboczej, z drugiej zaś – wiedzy technicznej przy budowie i konserwacji. W całej Afryce ludzie niechętnie opuszczają „swoje" wsie, z którymi wiąże ich tradycja i obecność przodków. Nawet ci, którzy służą w instytucjach rządowych czy na uniwersytetach, po przejściu na emeryturę wracają do swojej wsi. Jeden z mikrobiologów pracujący przez pół roku w Nigerii i gromadzący w tym czasie materiał badawczy, opracowywany przez następne pół roku w czasie pracy w laboratorium badawczym w Stanach, powiedział mi, że pojęcie Nigeryjczyk istnieje tylko w paszporcie i dla „obcych" za granicą. Każdy ma oczywiście jakąś przynależność plemienną, ale tak naprawdę to każdy jest obywatelem swojej wsi i w stosunku do niej obowiązuje go najwyższa lojalność. I ta wieś jest jego prawdziwym domem. Dlatego werbowana na budowy tam i zbiorników wodnych masa ludzka to najbiedniejsi, nie związani z określonym regionem, zwykle samotni mężczyźni. Szły za nimi prostytutki, choroby weneryczne i pasożytnicze ze schistosomiazą na czele. Wprawdzie poza człowiekiem źródłem schistosomiazy są pawiany i różne gryzonie (zostało to udowodnione przynajmniej w przypadku *Schistosoma Mansoni*), ale nadal nie wiadomo, w jaki sposób specjalny gatunek ślimaka, konieczny dla rozwoju pasożyta, znajduje się w sztucznych zbiornikach już wkrótce po ich wybudowaniu. Być może jest przenoszony przez ptaki. Całość procesu rozwojowego schistosomiazy jest tak skomplikowana, że gatunek powinien dawno wyginąć, a w rzeczywistości jest odpowiedzialny za zakażenie ponad 200 milionów ludzi i wraz z postępem i budową zbiorników wodnych ta liczba nieustannie rośnie. Jest to błędne koło, o którym donoszą raporty WHO, i problemu tego, jak na razie, nie udało się rozwiązać.

Minna kilka lat temu została stolicą stanu Niger. Rozbudowywała się gwałtownie i, o dziwo, z sensem! Budowano szerokie ulice, stawiano widne domy z szerokimi dachami, chroniącymi ściany przed słońcem. Likwidowano slumsy. Zbudowano tamę z dużym zbiornikiem retencyjnym, umożliwiającym rozwój rolnictwa.

W drodze powrotnej na „wzgórze"(adres Frania to Hill 5) odwiedziliśmy innego Polaka, który mieszkał na kampusie zostawionym po zakończeniu jakichś prac przez Szwedów. Jego dom wydał mi się czystym marzeniem. Drzwi zamykały się bezszelestnie, podłoga była pokryta ładną wykładziną położoną równiutko, kuchnia była jasna, obudowana funkcjonalnymi szafkami, a wszystko to było idealnie wykończone, dopasowane. Było to tak dalekie od rzeczywistości nie tylko nigeryjskiej, ale i polskiej *anno domini* 1979, że oglądałam to z niedowierzaniem i zazdrością. Do domu na wzgórzu dojechaliśmy czarną nocą, bo około ósmej wieczorem. Z przywiezionych produktów i wspaniałego chleba pieczonego przez naszego gospodarza zrobiłam kolację. Dołączył do nas kolejny Polak mieszkający po sąsiedzku. Panowie siedli do brydża, a ja koło północy, po sprzątnięciu śladów naszej uczty poszłam spać. Czterech panów z kieliszkami w ręku grało do szóstej rano. Nic dziwnego, że spali do jedenastej. Po szybko zjedzonym, późnym śniadaniu ruszyliśmy w drogę powrotną. Kazio zadecydował, że będziemy wracać inną drogą, tym razem przez Kadunę. Początkowo jechaliśmy bardzo dobrą, czteropasmową drogą, która niestety szybko została zastąpiona „falami" z asfaltu. Niestarannie położona nawierzchnia pod wpływem nadmiernego obciążenia przeładowanych ciężarówek, które pakowano na zasadzie „ile się zmieści", ześlizgiwała się z podłoża, tworząc asfaltowe fale dochodzące do 90 cm wysokości, w których chowała się poczciwa Kaziowa Igala. Całość swoich glinianych zdobyczy zawdzięczałam Andrzejowi, który w krytycznych momentach, gdy samochód podskakiwał na wybojach, chwytał je w ramiona, chroniąc przed wstrząsami. Sama zrobić mogłam niewiele, bo ze względu na chorobę komunikacyjną siedziałam z przodu, koło kierowcy. Kawałek Kaduny, przez którą przejechaliśmy, bardzo mi się podobał. Było to nowoczesne miasto, o szerokich ulicach, z mnóstwem zieleni. Wstąpiliśmy tam do kolejnych

znajomych Kazia. Leon przyjechał do Nigerii po przejściu na emeryturę i od trzech lat pracował na uniwersytecie w Kadunie. Gospodarze byli przemili i trudno było się od nich wyrwać. Dopiero koło szóstej wieczorem ruszyliśmy do domu, do Jos. O siódmej skończył się dzień i dobra droga. Zapadł czarny afrykański zmrok i na dodatek zerwała się gwałtowna, tropikalna burza z silnym wiatrem, wyładowaniami elektrycznymi i ulewnym deszczem. Do domu dojechaliśmy koło dziesiątej, a żywi i cali tylko dzięki wspaniałej jeździe Kazia. Przejechaliśmy w czasie tej wycieczki 1100 km.

Któregoś roku mojego pobytu w Nigerii, w pierwszym tygodniu stycznia, kiedy studenci mieli jeszcze przerwę świąteczna, Janka zaproponowała mi wyjazd do Ibadanu i Lagos. Zgodziłam się bardzo chętnie. Janka jechała służbowo, aby odebrać jakieś materiały pomocnicze do nauczania w swojej nowej politechnice i w związku z tym jechała służbowym samochodem z kierowcą. Było kilka dróg, którymi można było jechać na południe. Janka wybrała tę, która omijała most na Nigrze w Onitshy. Zbudowanie mostu było podyktowane istotną potrzebą, bo w Onitshy krzyżowała się główna droga ze wschodu na zachód. Każdy podróżujący z Kamerunu do Nigru, czy z zachodu, z Yorubalandu, musiał przekroczyć rzekę. Budowę zakończono w 1965 r. i było to na pewno wielkie osiągnięcie, ale… most był stosunkowo wąski, tylko jedno pasmo ruchu w każdą stronę i stosunkowo długi, miał ponad „milę" długości. Brak jakiejkolwiek dyscypliny drogowej i nawet podstawowej znajomości przepisów, że nie wspomnę o ich przestrzeganiu, powodowały, że na moście był bezustanny zator. Przedostanie się z Onitshy do Ashaby (na drugą stronę rzeki) zajmowało minimum dwie godziny, a czasem znacznie dłużej. Pojechaliśmy więc na zachód, przez Bidę. Pierwszą noc spędziłyśmy w rządowym domu dla gości w Bida. Na ogrodzonym terenie, w ładnym ogrodzie stało kilka domków z bieżącą wodą (wprawdzie tylko zimną) i czystymi łóżkami. Byłyśmy jedynymi gośćmi. Miałyśmy ze sobą coś do zjedzenia, a nasz kierowca, imieniem Sunday, zaopatrzył się w żywność w miejscowych kramach.

Bida była kiedyś słynna ze swoich wyrobów z miedzi i mosiądzu. Wtedy było to ruchliwe miasteczko przepełnione dźwiękami młot-

ków i młoteczków kowali i brązowników. Rynek zbytu niestety zmalał w związku z pauperyzacją Nigerii i opuszczeniem jej przez Anglików. W Nigerii pojawili się dość masowo Amerykanie, ale ci twierdzili w swojej nieskończonej bezczelności, że „czarna" Nigeria nie ma kultury i nie byli zainteresowani miejscowymi wyrobami. Myśleli zdecydowanie bardziej o tym, jak się nie dać ubiec Sowietom w „zdobywaniu" Afryki, a nie o wyrobach miejscowego rzemiosła. Rosjanie z kolei mieli bardzo ograniczone możliwości finansowe i woleli kupować złoto czy kość słoniową niż wyroby z drewna czy mosiądzu. Pojawili się nowi partnerzy – Niemcy i Włosi, a ostatnio zdecydowanie zainteresowali się Nigerią Japończycy, ale byli nieliczni i nie stanowili rynku zbytu dla wyrobów miejscowych.

Z Bidy mam tylko mosiężną tackę, mały talerzyk i mosiężny dzwonek, które przywiozłam ze sobą do RPA (gdzie obecnie mieszkam). Z Bidy pojechaliśmy na zachód do Mokwy i przez Jebba do Ilorinu, gdzie postanowiłyśmy zanocować. Droga była dobra, ale wzdłuż drogi ciągnęły się przerażające slumsy. I nagle wśród tego prymitywu pojawił się hotel Kwara – piękny, nowoczesny budynek z basenem kąpielowym i ładną salą restauracyjną. Dostałyśmy pokój z łazienką, a nawet z ciepłą wodą. Wykąpałyśmy się i umyłyśmy głowy. Od zjazdu z Wyżyny Jos, czyli od Kafanchanu było bardzo gorąco, więc jechaliśmy z otwartymi oknami. Była to pora harmattanu, silnego, suchego, północno-wschodniego wiatru wiejącego od Sahary i transportującego ogromne ilości pyłu. Po paru godzinach jazdy z otwartymi oknami byłyśmy od stóp do głów w kolorze miedzianym, a nasz kierowca wyraźnie pojaśniał, włosy zaś zrobiły mu się rudawe.

Rano, zaraz po wschodzie słońca, wyruszyliśmy w dalsza drogę. Koło 10. rano dotarliśmy do Ibadanu. Ibadan to olbrzymie miasto, na którym lata rządów angielskich nie zostawiły żadnego śladu. Było to kilkanaście wzgórz oblepionych domami, domkami i chatynkami. Wśród tej typowej „afrykańskiej" zabudowy, bez planu i ładu, widać było kilkanaście czy kilkadziesiąt wielopiętrowych budynków należących do wielkich firm i banków. Gdy wjechaliśmy do miasta, wszystko to okazało się być plątaniną korytarzy czy wąwozów, bo trudno nazwać ulicami te wąskie przejścia bez na-

wierzchni i chodników, często usiane dołami pełnymi wody i wszystkie obrzeżone 2–3 metrowej wysokości ścianami usypanymi ze śmieci, które stale paliły się na wierzchu. Janka miała znaleźć w tym labiryncie instytucję, która drukowała materiały pomocnicze dla jej studentów. Kręcąc się po tych nie oznaczonych i biegnących we wszystkich kierunkach „ulicach", dotarliśmy pod podany adres na zasadzie przypadku. Niestety na drzwiach z nazwą firmy wisiała wielka kłódka i mała karteczka z informacją, że firma została zlikwidowana. Nie pozostało nic innego do zrobienia, jak jechać dalej, do Lagos. Musieliśmy znów zapuścić się w gąszcz krętych uliczek obrzeżonych palącymi się śmieciami. Sądzić można, że jest to jedyny sposób na usuwanie śmieci. Po chwili Sunday oświadczył nam, że się zgubił i nie wie, w którą stronę jechać, żeby dojechać do autostrady na Lagos. Wyjechaliśmy właśnie na jakiś placyk pełen rozjeżdżonego błota. Z placyku wychodziło kilka niby ulic w różnych kierunkach, ale nie mieliśmy pojęcia, którą z nich wybrać. Na szczęście, jak to miało miejsce wielokrotnie w Nigerii, przejeżdżający obok nas samochód zatrzymał się i kierowca zapytał, czy może nam pomoc. Był to młody, doskonale i po europejsku ubrany mężczyzna. Po kilku zdaniach tłumaczenia Sunday'owi jak ma jechać, machnął ręką i powiedział „To się nie da wytłumaczyć, jedźcie za mną". Do wjazdu na autostradę do Lagos było może z pół kilometra, ale rzeczywiście było to zbyt skomplikowane, aby to wytłumaczyć. Serdecznie podziękowaliśmy za pomoc nieznajomemu. Autostrada była szeroka, wygodna i upstrzona wrakami samochodów powbijanymi w boczne betonowe ściany lub spoczywającymi na dnie głębokiego kanału, który dzielił dwa kierunki ruchu. Nasz Sunday pędził z maksymalną szybkością, na jaką pozwalał mu służbowy Peugeot. W pewnym momencie powiedziałam „Sunday, licznik się skończył, za chwilę będziemy fruwać". Sunday odpowiedział dumnym uśmiechem, błyskając białymi zębami i był bardzo nieszczęśliwy, kiedy Janka kazała mu zredukować szybkość do 120 km/godz. Lagos wyglądało urzekająco. Widać było z daleka wysokościowce i piękne wiadukty łączące poszczególne wyspy. Kiedy jednak wjechaliśmy do miasta, Sunday kazał nam zamknąć okna i zablokować drzwi samochodu. Mogłyśmy być łatwo okradzione

w piekielnym tłoku, w którym znalazł się nasz samochód. Zaczęliśmy się powoli przepychać w stronę Surelele, dzielnicy, gdzie mieściła się firma przygotowująca pomoce dla studentów Janeczki. Od środka miasto wyglądało znacznie gorzej. Jezdnie pięknych, szerokich ulic były zwężone do jednego pasma ruchu przez zalegające kupy śmieci. Samochody trąbiły i przepychały się w obu kierunkach, jak długo się dało, po czym utykały w kolejnym korku. Na szczęście nasza dzielnica leżała na obrzeżu Lagos i jakoś posuwaliśmy się do przodu. W czasie tej drogi zobaczyłam słynny Teatr Narodowy. Miał interesującą, nowoczesną sylwetkę, był jednak zamknięty. Z braku sztuk teatralnych i zespołu, został przekształcony w salę kinową, ale zdenerwowana kiepską projekcją publiczność zdemolowała go. Od tej pory był zamknięty, a na pięknym kiedyś podjeździe leżały połamane krzesła kinowe.

W Lagos doceniłam Jos i jego cudowny klimat. W Lagos miałam bez przerwy uczucie, że siedzę nad garnkiem z gotującą się wodą. Było bardzo gorąco, a wilgotność powietrza była ogromnie wysoka.

Jak już wspominałam, w Lagos panował na ulicach nieprawdopodobny tłok. Była to stolica kraju mieszcząca wszystkie centralne urzędy i ministerstwa, a ponieważ nie działały telefony, każdą sprawę załatwiano przy pomocy gońców, którzy na motocyklach i samochodami „pędzili" od urzędu do urzędu. Nie było żadnej komunikacji miejskiej i do pracy czy po zakupy każdy jechał samochodem. By zmniejszyć ten tłok o połowę, wydano zarządzenie, że w poniedziałki, środy i piątki mają prawo jeździć samochody z numerami parzystymi, we wtorek i czwartek z nieparzystymi. W soboty i niedziele mogły jeździć wszystkie. Efekt był taki, że w każdej pracującej rodzinie były dwa samochody, jeden z numerami parzystymi, a drugi z nieparzystymi, a w biedniejszych domach były dwie tablice rejestracyjne, które na zmianę przykręcano do samochodu. Oczywiście ruch samochodowy nie uległ żadnemu zmniejszeniu. Sytuacja w Lagos była tak tragiczna, że ściągnięto za duże pieniądze specjalistę ze Stanów, żeby rozwiązał ten problem. Po dwóch tygodniach wrócił do Stanów, a rządowi polecił zorganizowanie sprawnej sieci telefonicznej.

W środę (mając odpowiednie numery rejestracyjne) jeździliśmy naszym samochodem, starając się coś załatwić. Oczywiście nie wszystko się udało. W czwartek po południu ruszyłyśmy w drogę powrotną. Wyjazd z Lagos zajął nam dwie godziny, bo ze względu na nieodpowiedni numer rejestracyjny musieliśmy wyjeżdżać „opłotkami".

Po noclegu w Ibadanie pojechaliśmy znów inną drogą, na Oyo, Kontagore i Kadune. W Oyo kupiłam dwa bardzo piękne, ozdobne kalabasze, które mam do tej pory. Oyo z nich słynęło. Za Kontagora droga, mimo że była stosunkowo nowa, była fatalna. Dzięki opóźnieniu spowodowanemu jej fatalnym stanem musiałyśmy przenocować w Kadunie. Hotel Durbar zbudowali Amerykanie. Budynek był ładny, nowoczesny, ale jak wszędzie poprzednio paliła się w nim tylko połowa świateł, ściany były brudne, a urządzenia wodno-kanalizacyjne popsute. Wróciłyśmy do Jos starą drogą na Kafanchan, która po otwarciu nowej, nieco krótszej była praktycznie pusta. W trzy godziny byłyśmy w domu. Dzięki zaproszeniu Janki obejrzałam sobie przy okazji kawał Nigerii i wróciłam z głową pełną wrażeń.